

Marcin Haba

Kartkówka z jesieni



Marcin Haba

Kartkówka z jesieni

NIEBO

BYTOM 2025

SKŁAD ORAZ PROJEKT OKŁADKI

Beata Haba

REDAKCJA I KOREKTA

Beata Haba

WYDAWCA

Niebo

niebo@niebo.biz

www.niebo.biz

Copyright © Marcin Haba, 2025

Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN 978-83-947816-8-2

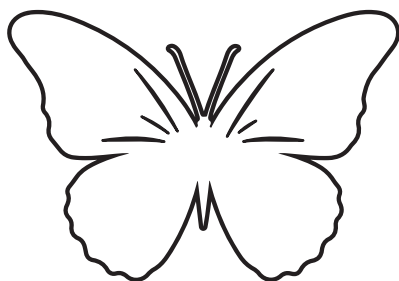
WYDANIE PIERWSZE

Ten utwór udostępniony jest na licencji Creative Commons
Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów
zależnych 4.0 Międzynarodowe.

Treść niniejszej licencji dostępna jest na stronie
<https://creativecommons.org/licenses/by-nc-nd/4.0/deed.pl>



Kartkówka z jesieni



Strona internetowa „Kartkówki z jesieni”

kartkowkazjesieni.pl

Rozdział 1

Poniedziałek

Cześć. Tu Gośka. Właściwie to nie wiem, co powiedzieć, poza tym że mamy poniedziałek, piętnasty dzień września, takie niby sobie coś, niby sobie nic. W autobusie linii 141 czuję się jak mała mróweczka, tyci drobinka wśród setek innych drobinek, upchnięta gdzieś między tęgi brzuch starszego faceta a sportowy plecak dryblasza z bujną czupryną. To nie jest fajne, gdy jedziesz nabitym po brzegi autobusem, jak przysłowiowa sardynka w puszcze i jedyne o czym marzysz, to o tym, by wysiąść. Zresztą pewnie każdy to kiedyś przechodził i wie, jak to jest. Nic przyjemnego.

Gorsza od tego jest jedynie myśl o tym, że ten piękny piętnasty września otwiera trzeci tydzień chodzenia do nowej szkoły, do której mam tak dojeżdżać przez najbliższe trzy lata. Zespół Szkół Odzieżowych w Lękocku nie był moim szczytem marzeń ani też możliwości, lecz jak to mówiła moja mama i potwierdzał tata „Z pracą w odzieży jest jak z pracą w zakładzie pogrzebowym – ciągle jest w nich zbyt, bo ludzie zawsze muszą się w coś ubrać tak samo, jak zawsze muszą kiedyś umrzeć. Gośka, w tych zawodach nie zginiesz” – zapewniali. No dobra, może i nie zginę, ale ja chciałam od życia trochę więcej niż „nie zginąć”.

Finalnie to realia, a dosadniej mówiąc, słabe wyniki ze szkoły podstawowej ostatecznie przeważyły, że chcąc nie chcąc, wyłądownałam w „odzieżówce”. No, niech będzie – myślałam. Machnęłam na wszystko ręką i tak już zostało.

Na tym jednak nie koniec. Gdzieś głęboko w środku miałam swój własny plan na życie, jeden z takich, nad którymi główkuje się długo, buduje latami, a na myśl o których aż ściska w żołądku. Nie mówiłam o nim nikomu, aby go nie spalić. To jeszcze nie ten czas, nie ten moment, bo ludzie jak to ludzie, mają swój zwyczaj, żeby oceniać i doradzać, kłapać paszczami i w ogóle wiedzieć wszystko lepiej. Specjaliści od czyjegoś życia, którzy w parę sekund potrafią zgasić czyjś najlepszy plan i największy zapal. Nie lubię tego. Wciskają swoje duże nosy w czyjeś życie i są tacy ciekawscy, jakby idealnie wyczuwali, że masz coś fajnego i chcieli ci to jak najszybciej wytrącić z rąk. Tego właśnie chciałam uniknąć. Póki co, puszczaam spojrzeaie przez okno autobusu. Przez wpół zaparowane setką oddechów szyby widzę, że dojeżdżamy do przystanku „Ogród botaniczny”. Jeszcze dwa przystanki i połowa tłumu będzie wysiadać. Już nie mogę się doczekać.

Właściciel dużego brzucha zionie na mnie tytoniowym oddechem. Jest ciężko. Z robotniczą torbą trzymaną w rękę i miną w stylu „Cholera, znów do roboty” wygląda na jakiegoś mechanika zmierzającego do pracy. Albo nie! Hydraulik? Tak, to może być hydrau-

lik. A może kolejarz? Zresztą nieważne. Ktokolwiek by to nie był, miałam go dość. Wyciągam głowę mocno w stronę uchylonego okna, aby złapać choć odrobinę świeżego powietrza. Tak trochę jak żyrafa wspinam się na palcach centymetr po centymetrze wyciągając swój nos jak najbliżej okna. Głęboki wdech, wydech, wdech i znów wydech. Tak leci mi droga.

Pocę się, pocę. Jak ja się pocę! Palce u nóg bołą mnie od wyciągania się do okna, a ręka cierpienie od trzymania się górnej rurki. No nie! Gdzie ja trafiłam? Myśl o czymś dobrym, Gośka. Myśl o czymś przyjemnym. Tylko o czym tu myśleć? W głowie mam dziurę jak stąd do Wisconsin, nic, pusto, nie mam żadnego skojarzenia.

Jedno co tam gdzieś daleko mi świta, to ta szkoła. Sama nie wiedziałam, czego się po niej spodziewać. Nie co dzień człowiek zaczyna nową szkołę, a dla cichej piętnastolatki to jest już mega wyzwanie. Nowi ludzie to często nowe kłopoty. Człowiek pozbywa się jednych, a w to miejsce przychodzą drudzy, czasem nawet gorsi, niż ci pierwsi. Bałam się tego. W głowie miałam tonę pytańników różnego typu. Jak będzie? Kto będzie? Czy się zaaklimatyzuję? I czy w ogóle dam radę?

Szczęśliwie do tej samej klasy chodzi ze mną Anka, dobra kumpela z podstawówki. To mi znacznie ułatwiało sprawę, bo co jak co, ale Anka z zaaklimatyzowaniem się nie miała nigdy problemu. Co więcej, zamiast ona uważać na kogoś, to inni musieli uważać

na nią, bo była z tych osób co z problemami się nie patyczkują. Nie, żeby miała na wszystko radę czy odpowiedź, ot po prostu – odważna była i tyle. Ja w każdym razie czułam się przy niej bezpieczniej. Zawsze waliła prosto z mostu co myśli i czuje, co jej się podoba, a co nie. To akurat było fajne i nieraz zabawne, czasem może tylko przysparzało kłopotów, jak sprawy szły za daleko. Przez tą jej „szczerłość” raz nawet trafiłam z nią na dywanik do dyrektora. Dostało się nam za udzielanie rad nieprzyjemnemu sprzedawcy ze szkolnego sklepu. A najśmieszniejsze w tamtej sytuacji było to, że ja nie powiedziałam ani słowa, a jedynie byliśmy tam razem. Ale nic, takich przygód było więcej.

Autobus dojechał wreszcie do przystanku „Fabryczna”. Drzwi pojazdu się otworzyły i dziesiątki „sardynek” wysypało się na zewnątrz. W środku z sekundy na sekundę robiło się luźniej, tłum wysiadał, a ja poczułam, jak wypełnia mnie błoga ulga. Luz, nareszcie luz i powietrze. Hydraulik też wysiadł razem ze swym tytoniowym smrodem. Uff, zaciągam się mocno chłodem wiejącym od drzwi. Błogość. Robi się nawet tyle przestrzeni, że trafia mi się miejsce siedzące.

Dalej już było z górki, bo do mojego przystanku zostało jeszcze tylko dziesięć minut jazdy. Korzystając z wygodnego miejsca, chciałam coś sobie poczytać. Zanim sięgnęłam do plecaka po książkę, z prawej strony autobusu zauważyłam pewnego chłopaka. O, dziś znów jedziesz ze mną – pomyślałam. Widziałam

go już tu dwa razy. Taka ładna buzia, sympatyczna raczej, włosy ciemne i krótkie, lekko kręcone. Niby niczym się szczególnie nie wyróżniał, chłopak jak dziesiątki innych chłopaków spotykanych w autobusie, ten jednak miał w sobie jakiś niewytłumaczalnie silny magnes. Sama nie wiem, co to było, ale wystarczyło, aby się nim zainteresować. No i ta naszywka na ramieniu kurtki „Amok Bastarian” oznaczała, że tak jak ja słuchał ciężkiego rocka. Spojrzałam raz jeszcze na twarz nieznajomego. Fajny był.

W swoim krótkim życiu spotkałam kilka podobnych osób, wszyscy nadawali na zbliżonych falach do moich. Nie wiem, czy to dlatego, że mi ich przypominał, czy przez coś innego, ale miałam takie marzenie, aby go kiedyś poznać. Wiem, może to głupie, bo pewnie nigdy się nawet do niego nie odezwę, ale tego właśnie chciałam – po prostu go poznać i dowiedzieć się, jaki jest. Pod tym względem poznawanie ludzi przypominało mi grę w pokera. Nie, żebym za kartami przepadała, ale jest taki moment w pokerze, gdzie mówi się „sprawdzam” i pokazuje się, co się faktycznie w ręce ma. Chciałabym kiedyś go „sprawdzić”.

Na kolejnym przystanku zazwyczaj wsiadała Anka. Nie inaczej było i tym razem. Zobaczyłam, jak wchodzi ostatnim wejściem, następnie kieruje się w moją stronę. Ubrana jak zwykle w długą, wojskową kurtkę i wytarte dżinsy. Miała proste blond włosy rozpuszczone luźno na ramionach. Nic nie wyglądało na to, że coś jest z nią inaczej. Dopiero gdy zrobiła jeszcze

kilka kroków, zobaczyłam, że coś się dzieje. Pomachałam do niej ręką, bo mnie nie zauważyła. Znowu pomachałam i jeszcze raz. Wreszcie wyłowiła mnie spośród reszty pasażerów.

– O, Gośka! – zawołała i już była przy mnie. Jednym susem usiadła obok, że aż zatrzęsło moim siedzeniem.

– Anka, co ci? Wszystko OK? – zapytałam od razu.

Ta machnęła tylko ręką w powietrzu na znak rezygnacji.

– Ach, dziewczyno – rzekła. – Szkoda nawet gadać.

– Co się dzieje? – zaniepokoiłam się.

– Pamiętasz moją gitarę?

Na to pytanie w głowie jak z automatu pojawiły mi się prześliski różnych naszych spotkań w domu czy w szkole, na których Anka grywała na gitarze współczesne, popularne utwory. Była w tym całkiem dobra i znana z tego prawie w całej szkole.

– Jasne. I co z nią? – zapytałam.

– Nie mam gitary. Dasz wiarę? Nie mam gitary! – znów machnęła ręką.

– O, szlag! Mów, co się stało.

Na twarzy Anki pojawił się smutny grymas. Widać było, że wewnątrz wraca do niej coś ciężkiego, jakieś trudne wspomnienie. Skrzywiła się i pokręciła lekko głową.

– Ach, Gośka – westchnęła. – Powiem ci tak. Alkohol to ściierwo.

Wymieniliśmy szybkie spojrzenia, a mi już zaskoczyło w głowie, o co mogło chodzić.

- Ojciec? - zapytałam niepewnie.

Nie odpowiedziała. Przytaknęła tylko głową.

- Co ty?! Serio?! - niemal krzyknęłam. - Dobra. Nie kończ.

Wszystko było już dla mnie jasne. Miała problem z ojcem alkoholikiem. To trudna sprawa, nawet dla takiej osoby jak Anka, a raczej szczególnie trudna właśnie dla niej. Nieraz opowiadała mi, jak jej tata wynosił różne cenne rzeczy z domu i sprzedawał na alkohol. Ale gitara własnej córki?! To się już nie mieści w głowie, totalne przegięcie. Popatrzyłam na Ankę i zrobiło mi się smutno. Smutno, że są tacy ojcowie, smutno, że się takie rzeczy dzieją i smutno, że to właśnie Anka.

- Tak mi przykro - złapałam ją za ramię i poklepałam. Jej oczy zaszkliły się i momentalnie odwróciła głowę w drugą stronę. Nie chciała, bym widziała ją w takim stanie.

To był chyba pierwszy raz, gdy zobaczyłam w jej oczach łzy. Nie pamiętałam nigdy jej takiej. Ta roznoszona energią twardzielka, największa z największych twardzielek, jakie znałam, teraz wyglądała tak zupełnie zwykłe, zwyczajnie, jakby ta cała jej pewniacka otoczka luzerki była skorupą, za którą skutecznie się kryła, a która teraz z niej opadła. Patrzyłam przez chwilę na nią. Im bardziej się jej przyglądałam, tym mniej widziałam w niej naszą Ankę, a bardziej widziałam tak zwyczajnie... dziecko, ciężko zranione przez ojca dziecko.

Żadna z nas nic nie mówiła. Bo i co można by na to powiedzieć? Że będzie dobrze? Albo, że ojciec kiedyś przestanie? To wszystko banały. Nikt tego nie wie. To jak trefne klucze do drzwi, które nie pasują. Wkładasz, przekręcasz i się nie otwiera. Wkładasz drugi, przekręcasz i znowu to samo. Ciężko pocieszać w takiej chwili. Lepiej się zamknąć. To przykre, że są takie drzwi, do których nic nie pasuje, których po prostu nie da się otworzyć.

- W tym domu i tak już nic nie ma - odezwała się Anka. - Jeszcze tylko czekać, aż mnie wyniesie. Ale dobra, nieważne.

- To ważne - rzekłam.

- Ważne, nieważne, Gośka, mam to gdzieś. A zresztą mama nie jest lepsza - dodała Anka. - Zamiast wysłać go siłowo na leczenie, to ciągle daje mu szansę, jakby żyła na innej planecie, albo co najmniej widziała inną rzeczywistość od reszty. Normalnie od pewnego czasu jak z nią gadam, to na słowo „szansa” mam odruch wymiotny. Rzygam tym.

- Przykre - powiedziałam.

- Tak, przykre - przyznała. - Tylko ta gitara... Cholera, moja gitara. Ja mu tego nie zapomnę.

Chyba już nic nie trzeba było do tego dodawać. Brzmiało jak esencja porażki w czystej formie. Bezradność to dobre słowo na podsumowanie całości, łączące klamrą początek i koniec. Możesz mieć najlepsze chęci, talenty i życiowe plany. Układać wszystko, przygotować każdy detal. I co z tego, gdy zawsze

znajdzie się ktoś, kto podstawí ci nogę, podłóży kłóde czy tak jak tutaj – sprzeda gitarę. Nie wiem, czy kiedyś ten temat ogarnę i czy w ogóle da się go jakoś ogarnąć. Piętnaście lat to nie jest fajny wiek, bo niby już prawie jesteś dorosła, a jednak tak mało zależy od ciebie.

Chciałam coś jeszcze jej powiedzieć, dodać jakiejś otuchy. W każdym razie nie chciałam jej tak zostawić bez niczego.

– Wiesz, co ci powiem Anka?

– No?

– Nie myśl o ojcu – rzekłam w końcu. – Bo to serio, nic ci nie pomoże. Ojciec to skała, a skał się nie rusza. Myśl o tym, co możesz jeszcze zmienić. Pomyśl o sobie.

– Dzięki. Tak chyba zrobię – zastanowiła się, a po chwili dodała. – A dupczyć to wszystko. Leję na to.

– Właśnie.

– Świat i tak jest kolorowy – rzekła, a ja zauważyłam, że zaczyna w niej wracać stara dobra Anka.

– Jasne.

Gadałyśmy jeszcze trochę w takiej szczerej kumpelskiej rozmowie. Nie często zdarzyło się nam tak rozmawiać. To chyba przez tę jej „skorupę” twardzielki, którą dziś z siebie zrzuciła, takie tematy rzadko nam przychodziły. Jeżeli czegoś się nauczyłam tamtego poranka, to właśnie tego, że nie ma znaczenia jak pewny i twardy na zewnątrz jesteś. Jakkolwiek pewny byś nie był, w każdym z nas w środku jest

żywy człowiek, który jak wszyscy potrzebuje się pośmiać, ale czasem potrzebuje też popłakać. Anka dziś potrzebowała właśnie tego drugiego. Fajnie, że jest moją kumpelą i że mogła to zrobić przy mnie. Mam wrażenie, że takie sytuacje zbliżają, jakbyśmy wkładały do środka nawzajem jakąś małą część siebie.

O piętnastej wróciłam ze szkoły do domu. W pierwszych tygodniach roku szkolnego nie dzieje się wiele, bo uczniowie nie przerobili jeszcze materiału potrzebnego do przeprowadzenia sprawdzianów czy nawet kartkówek. Z jednej strony to jest fajne, bo się człowiek nie stresuje, ale z drugiej muszę przyznać, że lekcje są nudne, szczególnie takie związane z zawodem. Nic mi to nie wchodzi do głowy. Nauczycielka z materiałoznawstwa mówiła dziś rzeczy, których już teraz nie pojmuję, a co dopiero mówić o nauce za kilka miesięcy. Może ja za głupia jestem do tego zawodu albo zwyczajnie się nie nadaję?

Zawsze uważałam, że cała sztuka w zdobywaniu nowej wiedzy jest taka, aby przełożyć ją sobie na coś dobrze znanego. Stworzyć swego rodzaju połączenia w stylu, że to jest podobne do tego, a tamto jest prawie takie jak coś jeszcze innego. Poprzewlekać w głowie takie nitki łączące dwa światy – nieznane ze znanym. Tu, w tej nowej szkole, już na starcie robią mi się zamiast nitek supły. Wszystko się płacze w spore kołtuny. Ech, ciężko widzę tę edukację.

W domu już na starcie była chryja. Jeszcze jak wchodziłam po schodach na moje piętro, to już wiedziałam, że nie będzie łatwo, bo doszedł mnie krzyk Oskara. To mój młodszy brat, mały i głośny siedmioletni brzdąc. Płakał i wył przeciągle, jakby co najmniej zamordowano mu rodzinę. Najtrudniejsze było to, że jak Oskar już płakał, trudno było go uciszyć, nic do niego nie docierało. Działał prawie jak syrena alarmowa, a gardło miał naprawdę mocne. Co najciekawsze, ze wszystkich domowników jedynie mi udawało się go najszybciej uspokoić, jakbym do takich sytuacji miała w sobie coś, czego ani mama ani tata nie posiadali.

– Co się stało?! – zawołałam od drzwi.

– O, Gośka. Dobrze, że już jesteś – przywitał mnie ojciec.

W przedpokoju pojawił się Oskar. Wyglądał słabo, oczy miał zaczerwienione i łzy leciały mu po policzkach. Gdy mnie zobaczył, nagle ucichł.

– Gosia! – zawołał maluch i podbiegł do mnie, aby się przytulić.

– Czemu on płacze?

– Aaa, trudna sprawa – ojciec pokręcił głową. – Bo widzisz, Pan Śpiewaczek zdechł – oznajmił.

Gdy tylko tata powiedział słowo „zdechł”, Oskar znów zaczął głośno wyć. Objęłam go i mocno przytuliłam.

Faktycznie tragedia. Pan Śpiewaczek to był kanarek, najukochańszy zwierzak Oskara. Mały, żółty śpiewający ptaszek. Niby nic nadzwyczajnego, kana-

rek jak inne kanarki, lecz dla mojego brata był – jak on to zawsze określał – „najlepszym psyjacielem”. Oskar często siadał przed klatką, mówił do Pana Śpiewaczka, karmił go, opowiadał mu nawet bajki, a przede wszystkim dbał o niego bardziej niż niejeden dorosły hodowca kanarków. Naprawdę, pod tym względem Oskar robił świetną robotę. A teraz, masz ci los, Śpiewaczek odszedł.

– Chodź Oskar, pogadamy sobie – wzięłam go za rękę i poszliśmy do mojego pokoju.

Posadziłam go na brzegu łóżka i sama też usiadłam obok. Wciąż szlochał i pociągał nosem. Widać było, że w jego głowie rozgrywała się spora tragedia. Był typem nieskończonego wrażliwca, co zapłacz nawet nad zabitą muchą czy mrówką. Taki to braciszek mi się trafił. Miałam wrażenie, że to coś znacznie więcej niż tylko wrażliwość, jakby wchodził do głowy tych zwierząt i cierpiał razem z nimi. Empata na tysiąc procent.

– Bo widzisz, Oskar... – zaczęłam. – Czasem tak się zdarza, że ktoś od nas odchodzi.

Nie powiem, że nie miałam tremy, bo miałam, a pewnie dlatego, że ze wszystkich domowników chyba tylko ja zdawałam sobie sprawę z poziomu jego wrażliwości. Może właśnie dlatego dogadywałam się z bratem lepiej niż rodzice. Tak czy inaczej, czułam na karku odpowiedzialność za to, by go jakoś pocieszyć.

– Pamiętasz prababcię Lusię? – zapytałam.

Oskar nawet na mnie nie patrzył. Biegał wzrokiem po szafce z książkami.

- Babcia kiedyś była, a teraz jej nie ma. Odeszła sobie jak Pan Śpiewaczek. To tak samo działa, trochę jak... - zastanowiłam się, do czego to porównać - trochę jak... jak mleko w tubce.

Przyszło mi to na myśl, bo Oskar uwielbiał zagęszczane mega słodkie mleko w tubce. Na słowo „mleko” aż mu oczy zabłyśły.

- Życie to jak takie właśnie mleko, że na początku masz całą tubkę i jest bardzo fajnie, przyjemnie - zauważyłam, że brat zaczął słuchać. - Potem z biegiem lat tego pysznego mleka ubywa, aż w końcu przychodzi czas, gdy w tubce nie ma już nic. Wtedy właśnie ktoś odchodzi.

- Aha - przytaknęła.

- Panu Śpiewaczkowi po prostu skończyło się „mleko”.

Oskar gapił się na mnie. Przestał pociągać nosem, a po chwili spytał:

- A gdzie on teraz jest?

Upsss. Trudne pytanie - pomyślałam.

- Kto? - zapytałam, grając na zastanowienie.

- Pan Śpiewaczek. Gdzie on teraz jest? - powtórzył.

- Hmm... Pewnie jest w pięknym, ptasim niebie - rzuciłam niepewnie.

- Ooo - westchnął. Wyglądało, że odpowiedź go zaintrygowała. - A jak tam jest?

- Nie wiem, Oskar, ale na pewno jest tam dobrze i fajnie.

W pokoju zapanowała zupełna cisza. Nikt już nie pociągał nosem, nikt nie szlochał, ani nie płakał. To było coś. Czułam, jakbym skutecznie rozbroiła tykającą bombę, jakbym przecięła właściwy kabelek we właściwym czasie.

- Jest OK? - zapytałam dla pewności.

- No jest - pokiwał głową, a ja poczułam ulgę.

- Fajnie - pogłaskałam go po włosach. - To idziemy teraz do kuchni na obiad - rzekłam. Po tym wzięłam go za rękę i poszliśmy.

Gdy stanęliśmy w kuchennych drzwiach, rodzice stali do nas tyłem i nas nie widzieli. Mama mieszała gotującą się zupę, a tata podniósł dłoń, w której trzymał coś żółtego.

- Ten Śpiewaczek to do mieszanych czy do BIO? - zapytał tata.

- Wrzuć do BIO - ze spokojem odparła mama.

Ojciec luźnym ruchem wrzucił żółte truchło do brązowego kosza. W tej samej chwili poczułam, jak brat puszcza mi rękę. Zdążyłam tylko zobaczyć jego wielkie, przerażone oczy i zaraz potem rozległ się najgłośniejszy, jaki słyszałam w życiu, oskarowy wrzask.

- Nnnnnnniiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiii!!!

No nie wiem, co było w tym poniedziałku, ale jakiś był „płaczliwy”. Najpierw Anka, teraz Oskar, a ja w tym wszystkim jako strona, która może coś pomóc. Czy czułam się z tym dobrze? No, może was zaskoczę,

ale tak, czułam się dobrze. Przyjemnie jest komuś pomóc i to w sytuacji, gdzie pozornie nie wiadomo nawet jak się do tego zabrać. Jedyne co było trudne, to bezradność, że ani nie mogę zrobić nic z ojcem Anki, ani też nawet z moimi rodzicami. Leczenie samych skutków – tak bym to nazwała. I to chyba w tym temacie tyle.

Wieczorem do mojego pokoju zajrzał tata. Czasem mnie odwiedzał, niby czegoś szukając, niby podlewając kwiatki, lecz oboje wiedzieliśmy, że chciał na osobności ze mną pogadać i dowiedzieć się, co u mnie słyszać. Nawet fajną mieliśmy relację, taką na luzie, zakładając, że nie było przy nas mamy. Z mamą to jest trochę inna historia. Wygląda to tak, że mama przejmuje problemy innych osób na siebie i próbuje je sama rozwiązać. Przez to znacznie mniej mówiłam jej o sobie. Ja wiem, że chce dobrze, tyle tylko, że problemy nie zawsze są po to, aby je od razu rozwiązywać, a częściej by się mierzyć z nimi samemu. Na swój sposób to coś intymnego, co człowiek nie zawsze chce powierzać innym.

– Jak tam szkoła? – zagadnął tata.

Dziś podlewał kaktusy. Wspinał się na palcach, by sięgnąć do najwyżej położonych kwiatów.

– A, no, chyba w porządku – odparłam.

– Czyli, że co? Że garnitur mi na swój ślub uszyjesz? – zaśmiał się.

– Jasne! – odparłam. – Masz go u mnie. Normalnie, masz go.

- To super - ucieszył się. - A tak serio? Jak ci te pierwsze dni idą?

- Nie wiem - wzruszyłam beztrosko ramionami.

- Co ci mam powiedzieć? Że nie idzie mi wcale? To wszystko jeszcze jest za świeże. No wiesz, ciężko cokolwiek stwierdzić. Za jakieś trzy miesiące mnie zapytaj.

- Dobra. Zapytam.

- Jedno, co jest pewne, to...

Zawahałam się, czy mu o tym mówić. Przekalkulowałam szybko w głowie. W końcu się zdecydowałam.

- Tak? - zainteresował się.

- ...to, że na razie mnie ta cała odzież nie kręci.

Tata spojrzał na mnie z zaciekawieniem. Odłożył konewkę na biurko i usiadł na łóżku obok mnie. Zapowiadało się, jakby chciał mi coś ważnego powiedzieć, albo co najmniej dać jakąś życiową radę.

- Daj tej szkole szansę - trącił mnie łokciem. - No wiesz, Gośka, jak bardziej to poznasz, to może ci się w końcu spodoba.

- Jasne - odparłam, raczej by go uspokoić i chyba też trochę uspokoić siebie. Ale czy w to wierzyłam? Odpowiedź była krótka - nie.

Gdy tata poszedł, zastanawiałam się jeszcze nad tym przez chwilę. Leżałam na łóżku i przez słuchawki słuchałam muzyki. Z jednej strony zdawałam sobie sprawę, że ta szkoła, to moja przyszłość, wyuczony zawód, który będzie ciągnął się za mną przez resztę życia. Z drugiej strony już teraz miałam tego dość.

Z wielkim utęsknieniem spoglądałam w głąb siebie na małą, skrytą szkatułkę, w której spoczywał mój wielki, tajny plan. Pod względem działania przypominał detonator, który tylko czekał na to, aby go nacisnąć i odpalić. Okropnie nie mogłam się już tego doczekać.